Nr. 169. Lwów — Czwartek dnia 26 Lipca. **Rok 1894.**

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . 4 ct.
na prowincyi . . . 5 „
Numera z poprzednich miesięcy po 10 ct.

„Przegląd" jest do nabycia we Lwowie w obu Biurach sprzedaży dzienników i we wszystkich większych trafikach.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. [illegible]

CENY OGŁOSZEŃ [illegible]
Korespondencye prywatne na każde słowo drukiem petitowym po . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenie, wiersz petitowy albo jego miejsce 20 ct.
Reklamy . . . 20 „
Nekrologia . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu" przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: 26 św. Anny P. | Akty Ap.
Jutro: 27 św. Natalii | Kyryka i Wol.
Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45
Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**
Wschód słońca g. 4 m. 32 Zachód „ 7 „ 36
Długość dnia g. 15 m. 4 Ubyło dnia od wczoraj 2 m.

Upraszamy pp. prenumeratorów o wczesne nadsyłanie miesięcznej prenumeraty.

Przegląd polityczny.

Lwów 25 lipca.

Komiwojażerstwo polityczne jest specyalnością naszych czasów. Ludzie, zajmujący wybitne stanowisko na jakiemkolwiekbądź polu, choćby jak najdalszem od dyplomatycznego, starają się na własną rękę załatwić różnice, dzielące narody, albo też przeciwnie, powiększyć te różnice, stosownie do celów, które sobie obrali. Rosyjski jenerał Skobielew, belgijski Brialmont, głośna niedawno pani Adam — to są typy współczesnych komiwojażerów politycznych, szkodliwych lub pożytecznych, a zawsze bardzo źle widzianych przez zawodowych dyplomatów.

Galeryę tych wolontaryuszy powiększył teraz znany włoski pisarz, p. Bonghi, prezes „włosko-francuskiej ligi pojednania", były deputowany i minister, a wielki przyjaciel Francyi, do której udał się dla propagandy w interesie stowarzyszenia włoskich przyjaciół trzeciej republiki. Po zamordowaniu Carnota przez anarchistę Włocha, nad stosunkami francusko-włoskiemi zawisło przez chwilę niebezpieczeństwo. Gmin lyoński uznał, że obowiązuje go zemsta i rabował na prawo. Rabunek spadł na sklepy i domy włoskie. Z Lyonu wzięły przykład inne miasta. Przez kilka dni trwały na ziemi francuskiej obławy na Włochów, to też zaczęli oni tłumnie uciekać z Francyi, co znowu nieprzyjemne mogło sprawić wrażenie na półwyspie Apenińskim. Ale wszystko to ucichło. Włochy niewiele wypierały się, co jest naturalnem, wszelkiej współczucia z Caseriem, lecz nadto okazały tyle za niego wstydu i żalu, a przytem tyle sympatyi i współczucia dla Francyi, że ta ostatnia zapomniała o włoskiem pochodzeniu mordercy. Z drugiej strony, rząd francuski wystąpił ostro przeciw ekscedentom, napastującym Włochów, do czego znajdował w prasie zachętę, pokazującą, że opinia publiczna we Francyi wcale się przeciw nadużyciom u liczyła. Tym sposobem obie strony miały sobie do zarzucenia i coś do przebaczenia. Po przebaczeniu następuje w takich razach zwykle łatwo zgoda. Tak przynajmniej myślał p. Bonghi, skoro uznał chwilę obecną za stosowną do podróży agitacyjnej. Nie zawiódł się o tyle, że doznał w Paryżu dobrego przyjęcia. Serdecznie powitała go prasa, wyprawiono na cześć jego ucztę, a sam prezydent rzeczypospolitej zaszczycił go audyencyą. Ta audyencya jest najważniejszym momentem wycieczki.

Casimir-Périer oświadczył podobno w rozmowie z Bonghim, że podziela najzupełniej jego pojednawcze dążności. Dodał, że wprawdzie dzisiejszy układ stosunków międzynarodowych niezupełnie sprzyja urzeczywistnieniu idei pojednania, ale spodziewa się, że myśl o zgodzie i przekonanie o jej potrzebie tak się z czasem rozwiną, iż gdy termin potrójnego przymierza upłynie, nie zostanie ono odnowione. Wtedy Francya i Włochy będą mogły bez przeszkód zawrzeć i pielęgnować przyjaźń.

Z jakiem uczuciem słuchał tych słów pan Bonghi? — nie wiemy. Zapewne niebardzo mu się podobały, bo jest w nich delikatna wskazówka, iż samo komiwojażerstwo, same bankiety i zapewnienia przyjaznych zamiarów nic zgoła nie znaczą. Périer postawił wyraźny warunek, który pierwej musi być spełniony, a dopiero potem można będzie mówić o zgodzie włosko-francuskiej. Ze słów jego wynika, że zbliżenie się tych krajów jest pożądane i możliwe, ale zanim nastąpi, Włochy muszą wyjść z trójprzymierza. Dopóki w niem są, ludzie dobrej woli mogą conajwięcej przygotowywać opinię do tej przyszłej zmiany. Mogą sławić zgodę, zalecać ją, propagować, wykazywać wspólność interesów politycznych i ekonomicznych. Jeśli tą propagandą zdołają sprawić, że rząd włoski nie odnowi przymierza z Niemcami i Austryą, to Francya będzie tem uszczęśliwiona. Ale jeśli nie sprawią tego, Francya zachowa w dalszym ciągu tylko platoniczną chęć zgody i wiarę w przyszłą kiedyś możliwość jej.

Rząd włoski zupełnie inaczej pojmował to zbliżenie. Kiedy o niem mówili ministrowie króla Humberta, kiedy ten ostatni sam niedawno o niem się odezwał, miał na myśli zbliżenie niezależnie od przymierza potrójnego. Jakoż rząd włoski tylko w tej formie może proponować owo zbliżenie, jeśli chce być w zgodzie ze swoimi sprzymierzeńcami. Był czas, że Niemcy starały się o pojednanie z Francyą. Rozumiały one wówczas, że uda się ją wciągnąć do związku, w którym same zostają. Tak samo teraz Niemcy i Austrya nie byłyby przeciwne zbliżeniu włosko-francuskiemu, gdyby to prowadziło do zbliżenia Francyi ku trójprzymierzu. Jeśli zaś komitywa francusko-włoska ma być ideą wprost skierowaną przeciw istnieniu trójprzymierza, to już rządy w Berlinie i Wiedniu innem okiem musiałyby patrzeć na akcyę pojednawczą dyplomatów włoskich.

Wniosek stąd taki, że propaganda Bonghi'ego, która, zdaje się, staje otwarcie na gruncie wypowiedzianych przez Périera poglądów na warunki pojednania, nie ma na sobie cechy urzędowej, ani półurzędowej. Wedle urzędowego pojmowania rzeczy, owo pojednanie może nastąpić tylko pod warunkiem, że Włochy zostaną w trójprzymierzu. Tak przynajmniej jest teraz, dopóki rząd włoski uważa za stosowne obstawać przy swej obecnej polityce zagranicznej. To też w Rzymie są bardzo niezadowolnieni z polityki, prowadzonej przez Bonghi'ego i tak uroczyście jej się wypierają, tak stanowczo zapewniają, że ona jest prowadzona na własną rękę, iż w rezultacie owo komiwojażerstwo dało rezultat wręcz odmienny od zamierzonego, bo prasa paryska bardzo słusznie podniosła, że takie wypieranie się zabiegów Bonghi'ego świadczy o tem, iż Włochy bynajmniej nie pożądają zgody. Równocześnie opinia włoska uczuła się przykro dotkniętą owym warunkiem, który Périer postawił, owem żądaniem, aby Włochy wystąpiły z trójprzymierza. Włosi są dość zarozumiali na punkcie swej wielkości i mniemają, że ich przyjaźń jest tak cenna, iż powinna być brana z podziękowaniem i bez zastrzeżeń. Więc nawet wśród swych rodaków spotkał się Bonghi z tak ostrą krytyką, iż pośpieszył oświadczyć w *Fanfulli*, że rozmowę jego z Périerem fałszywie powtórzyły dzienniki. I tak komiwojażerstwo na rzecz pojednania dało rezultat ujemny.

Widocznie upały sprzyjają rozmnażaniu się bąków politycznych, bo oto naraz pojawiło się ich bardzo dużo, między nimi zaś trzy dotyczą stosunków austryackich. Według jednego, hr. Kalnoky zamierza ustąpić jeszcze przed sesyą delegacyjną, a to wrzekomo dlatego, że węgierskie sfery są z niego mocno niezadowolnione za jakiś nielegalny wpływ, który on miał wywierać na przebieg rozpraw magnackich nad ślubami cywilnymi. Jest to, jak się zdaje, stara odegrzana bajka. We właściwym czasie było zaznaczono, że hr. Kalnoky żadnego wpływu nie wywierał na magnatów, a zatem nie może pokutować za to, czego nie zrobił. Drugi bąk zapewnia, że austryacki poseł w Rumunii, hr. Gołuchowski, wziął długi urlop, aby już nie wrócić na swe stanowisko, które stało się dlań nieznośnem z powodu antiwęgierskich agitacyi szowinistów rumuńskich. Co nieznośnem jest panu Gołuchowskiemu, to miłem być nie może żadnemu innemu dyplomacie austryackiemu, zatem jego usunięcie się byłoby właściwie nadwerężeniem stosunków dyplomatycznych między Austryą a Rumunią. Z tego powodu owa bajka sprawiła wrażenie, ale *Fremdenblatt* już ją obalił zapewnieniem, że hr. Gołuchowski rzeczywiście zażądał tylko urlopu. Wreszcie trzecia bajka udziela dymisyi austryackiemu posłowi przy Watykanie, hr. Reverterze, który także wyjeżdża na urlop i już nie powróci, — a to dlatego, że nie dość był zręczny w popieraniu przed Papieżem węgierskich ustaw bezwyznaniowych. Czy poseł ów był w tej kwestyi zręcznym, czy nie był, tego nie wiemy, ale faktem jest, że on pozostanie na swym posterunku.

Ciekawe jednak jest to w tych pogłoskach, że wedle nich wszystkie owe zmiany w sferze dyplomatycznej byłyby rezultatem węgierskiego niezadowolnienia.

We Wrocławiu odbywa się teraz zjazd niemieckich towarzystw gimnastycznych, do których przyłączyły się także gromady gimnastyków austryackich. Na bankiecie, wydanym dla nich przez miasto, wystąpił naczelny prezydent pruskiego Szląska p. Seydewitz z mową, którą tak zakończył: „Podnosimy wzrok ku wzniosłej postaci austro-węgierskiego Monarchy, przedstawiciela jednej z najsławniejszych dynastyi niemieckich, Cesarza, któremu dobro jego wszystkich ludów w równym stopniu leży na sercu, a z pewnością nie najmniej dobro jego niemieckich poddanych. Czcimy go zadto jako wiernego przyjaciela i sojusznika naszego cesarskiego władzcy, z którym on tworzy pewną i stałą straż pokoju!". Toast ten przyjęto z ogromnym zapałem.

Korespondencye.

Paryż 19 lipca.

(W. Z.) Kto śledzi uważnie przebieg obrad parlamentu nad ustawą przeciw anarchistom, ten musi przyznać, że nawet przyjazd cara do Paryża nie mógłby tak wzmocnić pozycyi dzisiejszego rządu, jak morderstwo Carnota i wywołana tą zbrodnią dyskusya nad repressaliami przeciw anarchistom. Każdy dzień tej debaty, każdy nowy atak socyalistów zwiększa zastęp zwolenników rządu. Przedwczoraj przy głosowaniu nad przejściem do debaty szczegółowej miał rząd za sobą 244 posłów z lewicy, 25 monarchistów z prawicy, i 20 monarchistów pogodzonych z republiką, przeciw sobie zaś miał 106 radykałów, 56 socyalistów i 6 monarchistów z prawicy, dziś zaś, gdy przyszło do głosowania nad wnioskiem socyalistów stanęło po stronie rządu 426 posłów, a za wnioskiem socyalistów głosowało tylko 56 posłów socyalistycznych i 14 najskrajniejszych radykałów. Wniosek ten jednak oburzył wszystkich do żywego. Oto socyalistyczny deputowany Rouanet zażądał, ażeby podżeganie żołnierzy do nieposłuszeństwa nie było uważane za zbrodnię anarchistyczną, i było sądzone nadal przez sądy przysięgłych, a nie przez trybunały policyjne. Motywując swój wniosek, rzekł Rouanet, że namawiania żołnierzy do nieposłuszeństwa nie można we Francyi w ogóle uważać za zbrodnię. Gdy słowa te padły z ust Rouaneta okrzyk oburzenia rozległ się w całej sali. Rouanet jednak nic sobie z tego nie robił i zaczął motywować swój wniosek. „Od stu lat— rzekł — widzimy..." Ponowny hałas w sali zamknął mu usta. — „Dosyć tego — wołano — odebrać mu głos". Rouanet uśmiechnął się ironicznie i rzekł: „Zresztą co innego jest, jeżeli wojsko znajduje się w obliczu nieprzyjaciela, czy też nie". Tego już było za wiele. Posłowie zaczęli wychodzić z ławek i z miną groźną otoczyli mówcę, a prezydent Burdeau ostremi słowy udzielił mu nagany. Rouanet wrzasnął na całe gardło: „Od nikogo nie przyjmuję lekcyi miłości mej ojczyzny. To samo, co ja powiedziałem, powiedział także jenerał Foy". Następnie wśród wielkiego zgiełku, dowodził rzecznik socyalistów szeroko, że od armii tylko wtedy powinno się wymagać bezwzględnego posłuszeństwa jeżeli stoi w obec nieprzyjaciela. Gdy skończył, poczęto sykać, stukać, gwizdać i posypały się protesty jeden po drugim. Wicehrabia Montfort, zaprotestował pierwszy. Podczas przemowy jego zawołał Rouanet z ławki: „Protest wicehrabiego nic mnie nie obchodzi obstaję przy tem, co powiedziałem". Na to powstał biskup msgr. Hulst i rzekł poważnie: „Nie tylko hr. Montfort, lecz cała izba protestuje". Słowa te wywołały ironiczne okrzyki na ławach socyalistów. „Oto macie prawdziwego anarchistę" wołali. Epizod ten zakończył deputowany z Nancy, Chapuy, temi słowy: „Dotychczas byłem przeciwny tej ustawie, ale w obec stanowiska, jakie zajęli dziś socyaliści, oświadczam, iż jako reprezentant jednego z nadgranicznych powiatów, głosować będę za nią". W głosowaniu, jak rzekłem — upadł wniosek Rouaneta 426 głosami przeciw 70. Socyaliści francuscy ponieśli więc dotkliwą klęskę i swem niepatryotycznem wystąpieniem sprawili, że ustawa przejdzie prędzej, niż się można było spodziewać.

Proces przeciw Caseriowi, mordercy Carnota, odbędzie się za tydzień, gdyż rozprawę wyznaczono już na 27 lipca. Skończy się ona w jednym dniu, albowiem prokurator ma zamiar bardzo krótko przemawiać, i świadków tylko niewielu zawezwano do rozprawy. Aby oszczędzić rodzinie Carnota przykrości stawania przed sądem i patrzenia na mordercę, nie wezwał trybunał nikogo z niej na świadka. O pamiątki, pozostałe po zamordowanym prezydencie, a mające jakikolwiek związek z jego ostatniemi chwilami, dobijają się rodzina i miasto Lyon. Chciało ono koniecznie umieścić w swem muzeum ubranie, w którem nieszczęśliwy prezydent zginął, jednakże wdowa pod żadnym warunkiem nie zgodziła się na to i musiano jej oddać frak przebity sztyletem i koszulę krwią zbroczoną; przedmioty te nie będą nawet figurowały na rozprawie jako *corpus delicti*. Miasto Lyon dostało tylko chustkę, którą jenerał Borius tamował krew Carnotowi i łóżko z pościelą, na którem on umarł. Kieliszka, którym Carnot na kilka minut przed zamachem wzniósł toast na pomyślność miasta Lyonu, pomimo najskrzętniejszych poszukiwań nie można odszukać; ktoś go zeskamotował.

Zanotować muszę jeszcze ten objaw, że owi nieznani protektorzy anarchistów, którzy Ravachola, Vaillant'a i Henry'ego zasilali pieniędzmi w więzieniu, o mordercy Carnota zapomnieli, albo też boją się przysyłać mu zasiłków. Otrzymał on w więzieniu od jakiegoś bezimiennego dobrodzieja wszystkiego półtora franka, to też musi zadowolnić się skromnym wiktem więziennym. Vaillant i Henry mogli spijać najlepsze wina, gdyż każdy z nich otrzymał po kilka tysięcy franków.

Z całej Francyi nadchodzą doniesienia o bardzo cichym przebiegu narodowego święta (wzięcia Bastylii). W samym Paryżu najpoważniejszą chwilą tego dnia było odsłonięcie pomnika Condorcet'a. Paryż posiada mnóstwo pomników, a niektórzy głośni mężowie, jak Voltaire i Diderot posiadają swoje kamienne wspomnienia niemal w każdej dzielnicy miasta. Pomniki te, zazwyczaj nie imponujące rozmiarami, ale za to posiadające zawsze wysoką wartość artystyczną, przyczyniają się bardzo do nadania Paryżowi cechy pięknego i wyjątkowego grodu. Do rzędu tych ozdób przybędzie posąg znakomitego filozofa francuskiego, Condorcet'a. Condorcet uważanym jest za pozytywistę i za poprzednika Augusta Comte'a. Czy tak jest? można się o to sprzeczać. Zaznaczyć wypada w każdym razie fakt, że temu właśnie mniemaniu zawdzięcza Condorcet pomnik. Inicyatywa wyszła bowiem od dra Robinet'a, znanego ucznia Comte'a, a pierwsze składki złożyli comtyści.

Mowy, jakie wygłoszono przy uroczystości odkrycia pomnika, miały charakter więcej polityczny, niż filozoficzny. Zresztą Condorcet był przez pewien czas posłem a rola jego w Konwencie rozmaicie przez różnych mówców była oświetlaną. Na zakończenie przemówiła pani Vincent w imieniu jakiegoś Towarzystwa, iż był zwolennikiem równości płci.

Tworzy się u nas syndykat — przewodników. Jako konieczną kwalifikacyę na członka syndykatu postawiono: przewodnik musi być Francuzem. Instytucya ta ma bowiem na celu ochronę przeciw przewodnikom cudzoziemcom, a w wymaganiach swoich idzie tak daleko, że sformułowała prośbę do prefekta policyi z wymaganiem, aby nikomu nie wolno było wykonywać funkcyi tłómacza ani przewodnika bez specyalnego na to pozwolenia, które wydawanem będzie po przeprowadzeniu odpowiedniej ankiety. Oto zaś, w jaki sposób zsyndykowani przewodnicy motywują potrzebę tego ograniczenia. Do Paryża przybywa cudzoziemiec, często bez znajomości języka francuskiego, który w ciągu kilku dni, nieraz kilku tygodni żyje ze swoim przewodnikiem związany dość ścisłym węzłem; potrzeba więc, aby człowiek ten posiadał gwarancyę moralną, jest to bowiem stosunek oparty w pewnej mierze na zaufaniu; potrzeba dalej, aby w danym razie cudzoziemiec mógł łatwo odszukać ślad przewodnika; potrzeba wreszcie, aby cudzoziemiec miał pewność, że człowiek, który mu usługuje, zna naprzód dobrze język krajowy, a potem i kraj sam, drogi, komunikacye, biura i tak dalej.

Przewodników istnieje w Paryżu przeszło pięciuset. Z tych ledwie piąta część są Francuzami. Cudzoziemcy mają nad nimi tę właśnie przewagę, że znają języki obce, że więc mogą lepiej obsłużyć nieznającego francuskiego języka — Niemca, Włocha, Anglika, aniżeli Francuz, choćby ten mówił najpiękniejszym literackim językiem, a miasto znał jak swoje mieszkanie.

Zarobek takiego przewodnika zależy w zupełności od hojności klienta, ani hotele bowiem, ani wielkie magazyny pensyi żadnej przewodnikom nie płacą. Hojność zaś klienta zależy głównie od jego narodowości. Najhojniejszymi są Anglicy i Amerykanie. Potem idą Polacy. Najoszczędniejszymi — Niemcy i Belgijczycy. Francuzi w ogóle są bardzo hojni, szczególnie południowcy; mieszkańcy północnej Francyi są o wiele oszczędniejsi, jednak wyrównywują jeszcze Anglikom i Amerykanom. O ile przewodnik używanym jest w podróży — istnieje specyalna taryfa: 300 franków miesięcznie lub 20 dziennie, oprócz całkowitych kosztów utrzymania. Wynagrodzenie dość sowite jak na pracę wcale nie uciążliwą. Nic więc dziwnego, że urodzeni w Paryżu przewodnicy patrzą krzywem okiem na ubiegających ich cudzoziemców.

Ogłoszono w ostatnich czasach kilkanaście listów autentycznych Dumas'a ojca. Są one bardzo ciekawe i stanowią przyczynek do charakterystyki tej dzielnej postaci. Bardzo zabawnym, między innemi jest list, w którym stary Dumas proponuje synowi swojemu spółkę literacką, w celu napisania sztuki dla teatru. List pisanym jest niby do obcego i zaczyna się od słów: „*Cher maitre*".

Skoro mowa o Dumasie, pozwólcie mi przytoczyć anegdotkę o nim, którą mi opowiadano wczoraj, a która, być może, iż nie dla wszystkich będzie tak jak dla mnie nową.

Wiadomo, że Dumas był jednym z najdowcipniejszych ludzi swojego czasu i taką też miał pomiędzy swoimi współczesnymi reputacyę. Otóż zdarza się raz, że będąc w jakimś teatrze bulwarowym, zawiera Dumas przypadkową znajomość z człowiekiem, prawie równie jak sam dowcipnym. Prowadzi się rozmowa w antraktach, rozmowa, która jest ciągłym wybuchem humoru, nieprzerwaną nicią replik, pełnych dowcipu.

Dumas zachwycony sąsiadem, pragnie się dowiedzieć, kim on jest.

Ale, niestety, sąsiad powodzeniem zepsuty, zapragnął więcej mieć hołdu, aniżeli mu się należało. Powiada więc:

— Jakto? nie znasz mię pan! Ja jestem Aleksander Dumas.

Na co Dumas bez chwili namysłu:

— Patrz pan! „Ja także."

---

9)

OD JUTRA.

Powieść współczesna z papierów familijnych spisana przez *Maryana Gawalewicza*.

(Ciąg dalszy).

Pan Mieczysław o tym ważnym projekcie syna usłyszał prawie w ostatniej chwili, bo Władysław, znając ojca, nie chciał mu się wcześniej zwierzać ze swoimi zamiarami; wiedział, że stary sprzeciwiać się będzie temu i odradzać.

— Bój się Boga! — przekładał mu też na wyjezdnem — zastanów się, co chcesz zrobić!... pójdziesz na oficyalistę?... czyż to wypada tobie, Słowińskiemu?...

— Trudno, mój ojcze — odpowiedział syn spokojnie, ale stanowczo — cóż będę robił?...

— Poczekaj, przecież się to lada dzień skończyć musi.

— Tak, czy owak, darmo jeść chleba nie mogę.

— Nikt ci go nie wymawia; dopóki starczy dla nas wszystkich, pożywisz się i ty.

— A jeśli zabraknie?...

Stary się żachnął i czoło zmarszczył.

— To moja rzecz — odparł — z głodu nie zginiemy, nie bój się, Pan Bóg nad nami.

— Ja się też nie boję, dopóki mam dziesięć palców do pracy.

— Ja też od pracy cię nie odwodzę; owszem, pracuj, młody człowiek powinien pracować na siebie, tylko znajdź sobie odpowiednie zajęcie.

— A jakie? — zagadnął go znowu syn tym samym tonem, a zanim zakłopotany ojciec mógł znaleźć odpowiedź, dodał po chwili:

— Nie mam dziś do wyboru; biorę to, co się samo nastręcza. Jeszcze i tak nic pewnego, czy w Pieczarach mnie przyjmą. Kandydatów musi być nie mało.

Uparł się i postawił na swojem; pojechał szukać chleba.

Pan Mieczysław chodził po jego wyjeździe przeszło godzinę po swoim pokoju, strapiony i przybity.

— Słowiński oficyalistą!... Władzio oficyalistą!..

W głowie mu się to pomieścić nie chciało.

W końcu jednak doszedł do konkluzyi, że chłopcu ambitnemu przeszkadzać nie należy, skoro chce mieć koniecznie własny kawałek chleba; niech ma.

— Dziej się wola Boża! — westchnął z rezygnacyą — poczciwa dusza, zacne serce, boi się, aby mi za ciężko nie było w dzisiejszem położeniu. A delikatny!... nie powiedział mi tego otwarcie. Ja go znam. Niechże mu się zdaje, że mi wyświadcza przysługę. Nie zapomnę mu tego nigdy. Poczciwina, gotów się upokorzyć, aby ojcu ulżyć tylko. No, długo ja go tam na tej posadzie nie zostawię; nie pozwolę, aby mi się moja krew marnowała. Wrócimy do Dziadowej, to będzie musiał pojechać i doktoryzować się; ho, ho!...

Ta myśl pogodziła go nawet z sytuacyą i wróciła lepszy humor.

Odmowa pożyczki jednak, list proboszcza, przypomnienia rządcy o komorne zaległe, pustki w pugilaresie i brak widoków wydostania gotówki na konieczne potrzeby, wprawiły go teraz znowu w ów stan przygnębienia, z którego wszelako lada promyk nadziei polepszenia losu napełniał go świeżą otuchą i podnosił moralnie.

Ale w takiem usposobieniu ducha wszystkie ciężary nabierały w jego sercu potrójnej wagi; pod pierwszem wrażeniem uginał się, głowę zwieszał i przypuszczał do siebie najczarniejsze myśli, więc i wyjazd syna z zamiarem przyjęcia posady oficyalisty fabrycznego wydawał mu się wśród innych kłopotów krokiem rozpaczliwym.

Wstawał od stołu jeszcze pochmurniejszy niż do niego zasiadł; przeżegnał się po skończonym obiedzie, żonę z czułością w rękę ucałował, każdemu z dzieci pocałunek złożył na czole i powolnym, ciężkim krokiem wyszedł do swojego pokoju.

Zdjął surdut, wdział swoją krótką wytartą przy kieszeniach lisiurkę, która mu niegdyś do polowania służyła i usiadł do poobiedniej drzemki w poręczowem krześle przy oknie; ale sen nie przychodził, oczy się mu nie kleiły, za dużo myśli uciskało mu głowę.

Siedział i wzdychał.

Tak się zatopił w swojej zadumie, iż nie zauważył nawet Maryni, która od kilku minut stała w jego pokoju i przypatrywała mu się ze smutnem współczuciem.

— Ach, to ty?... chciałaś czego moje dziecko? — spytał, spostrzegłszy ją nareszcie i spróbował przybrać pogodniejszy wyraz twarzy.

Podeszła bliżej i oparła się o poręcz jego krzesła.

— Ojczulek nie śpi?

— Nie, i jakoś mi się dziś drzemka nie udaje. Spałem za dużo w nocy.

— Czy to tylko ten powód?

— A jakiżby inny?

— Czyż ich mało!

Nie odrzekł nic, tylko mimowoli głową skinął.

Przez chwilę milczeli oboje; wreszcie ona znowu zaczęła miękkim, dobrym, łagodnym swoim głosem:

— I cóż będzie?...

Podniósł głowę, uderzony jej zapytaniem, udając, że nie rozumie, o co jej chodzi.

— Z czem?...

— Proszę przedemną sekretów nie robić — rzekła — ja wiem wszystko. Pauliński odmówił, prawda?

Odwrócił się do niej żywo, zdziwiony temi słowy.

— A ty skąd wiesz?

— Nietrudno było się domyśleć; przy mnie list przynieśli, poznałam pismo jego i kanonika na adresie.

— Ale skąd wiesz, żem się do niego udawał i w jakim interesie?

— Od mamy; przecież ojczulek wie, że my z mamą nie mamy żadnych tajemnic. Zresztą to było do przewidzenia, że trzeba będzie, jeśli nie jego, kogo innego prosić o pożyczkę. Nasz skarbiec już się wyczerpał.

Poruszył się niechętnie, jakby mu przykro było przyznawać się do tego przed córką.

— Cóż robić, moje dziecko! Trzeba się ratować, aby dobić do jutra. Dziś wszystkim ciężko, więc i Paulińskiemu trudno mi wygodzić. Musi się znaleść gdzieindziej.

— A gdzie?

— Gdzie?... nie wiem jeszcze, ale pomyślę.

Znowu nastała chwila milczenia.

— Jabym poradziła — rzekła po namyśle nieśmiało.

— Ty?... ciekawym.

— A nie pogniewa się ojczulek?

— Na ciebie?... co ci też w głowie!... Ty, moja panienko, nie możesz mnie rozgniewać; cóżto, ja ciebie nie znam, żeś ty najrozsądniejsza z nas wszystkich!

Podniósł rękę i pogłaskał ją czule po twarzy i po włosach.

— Otóż ja mam projekt, któryby nas mógł poratować bez cudzej pomocy — mówiła ośmielona tonem ojca — nie potrzebowalibyśmy nawet udawać się do obcych.

— Cóż takiego?

— Rzecz bardzo prosta, przynajmniej na mój rozum. Zajmujemy mieszkanie i tak za ciasne dla nas wszystkich... trudno się ruszyć; wygląda tu, jak na Pociejowie, a przecież i na strychu mamy skład rozmaitych rupieci. Jabym sądziła, ojczulku, że moglibyśmy śmiało...

Zawahała się przez chwilkę, jakoś przez usta nie chciała jej przejść reszta wyrazów.

— ...że moglibyśmy sprzedać część mebli, które nam tylko zawadzają niepotrzebnie.

Słowiński rzucił się w bok i wpatrzył w nią na poły niedowierzająco, na poły z urazą.

— Sprzedać meble?...

Wydało mu się, że się przesłyszał.

— Marynin, bój się Boga, co tobie do głowy przyszło?... przecież to wstyd, to kompromitacya!... Coby sobie ludzie pomyśleli!... Dajże pokój, pewnie to chyba żarty z twojej strony. A to mi piękna rada! To już lepiej od razu pójść na żebry. Gotowi powiedzieć, że Słowińscy na psy zeszli, zbankrutowali ze wszystkiem, w ostatnią nędzę popadli. Tegoby tylko brakowało!...

Wzruszony był samem przypuszczeniem, że musiałby zrobić kiedykolwiek coś podobnego.

— Nie, moje dziecko, tak źle nie jest jeszcze, abyśmy się wyprzedawać mieli i za pieniądze handełesów żyli! — wołał wzruszony. — Moje meble, to moje... moje... moje kochane graty, gdzieżbym ja pozwolił na to, aby poszły do obcego domu? Przecież tu każdy stołek, to jak stary znajomy; tyle lat się wysługiwał, wyście się wszyscy przecież na nich wychowywali. Gdzieżbym ja miał serce rozstawać się z niemi? A zresztą to same pamiątki — a tak, pamiątki, moje dziecko. Cóż to, nie wiesz o tem?... taki kredens, to przecież stał jeszcze u nieboszczki babki Stanisłeckiej, w Chlebowicach, albo zegar!... zegar ten starszy odemnie i od ciebie razem, a garnitur z salonu to jeszcze wyprawny mojej matki, a serwantki, to podarunek ślubny naszej mamy, a szafy, a stoły, a... Ale co to gadać naprózno!... jednego sprzętu niema takiego, któryby mi kogoś lub czegoś drogiego nie przypominał.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Międzynarodowy kongres prasy.

Podczas teraźniejszej wystawy belgijskiej w Antwerpii odbył się pierwszy międzynarodowy kongres wyłącznie dziennikarzy. Współudział niektórych znakomitości dziennikarskich, doniosłość roztrząsanych kwestyi, żywość sporów i powaga głosowań, którymi odznaczył się ten kongres, zdobędą mu wielki rozgłos w świecie dziennikarskim.

Po zagajeniu posiedzenia przez prezesa Artura de Goemaere, pierwszy zabrał głos W. Clayden, redaktor *Daily News* i prezes „Institute of Journalists", zdając raport o tem stowarzyszeniu dziennikarzy angielskich, — które, istniejąc zaledwie od lat pięciu, liczy już przeszło 4000 członków, fachowych pracowników pióra, między którymi znajduje się około 600 kobiet.

Godne zanotowania jest, że dopiero po roku 1840 kobiety zaczęły się w Anglii zajmować dziennikarstwem, w parę lat potem było ich już 15, a dziś jest ich ogółem 800.

Torelli-Viollier, dyrektor „Corriere della Sera" z Medyolanu rozwinął projekt zaprowadzenia stałych stosunków między stowarzyszeniami prasy różnych krajów i żądał wyznaczenia osobnej komisyi, która zajęłaby się przygotowaniem na przyszły kongres zjednoczenia tych stowarzyszeń, jak również i utworzenia osobnego stałego komitetu międzynarodowego, który przewodniczyłby owo zjednoczenie. Po długich rozprawach przyjęto projekt znaczną większością głosów.

Prezes komisyi, wyznaczonej do zbadania tego projektu, ogłosił, że biuro stałe centralne będzie przyjmowało zapisy oddzielnych syndykatów prasy, życzących sobie przyłączyć się do międzynarodowego stowarzyszenia dziennikarzy; delegaci zaś [illegible] tych syndykatów i listy członków i dzienników tworzących je. Niezbędne wydatki będą pokrywane przez syndykaty prasy w proporcyi do liczby ich członków.

Pierwsze posiedzenie zakończyło się wzruszającym faktem, dowodzącym, o ile międzynarodowe zjazdy prasy przyczynić się mogą do wymiany serdecznych, braterskich uczuć między dziennikarzami różnych narodów: delegaci francuscy zwrócili się do zebrania z prośbą o przesłanie w imieniu kongresu szczerego kondolencyi wdowie włoskiego dziennikarza Bandiego, zamordowanego w Livorno: stąd serdeczne wylewy między delegatami włoskimi i francuskimi. Na następnem posiedzeniu rozważano projekt redaktora *Indépendance Belge* Gastona Bérardiego, dotyczący własności literackiej w prasie, własności nader często podawanej przez niezbyt skrupulatne dzienniki. Kwestya to ważna i delikatna. Mówca proponował ułożenie prawa, broniącego własności informacyi i wybór specyalnej komisyi, która zajęłaby się przestrzeganiem tego prawa. Wniosek przyjęto, komisyę wybrano, a ona wzywała członków swoich do zbadania stosownych praw i obyczajów każdego kraju i do złożenia odpowiednich raportów na przyszłym kongresie, poczem zaczęły się długie rozprawy, dotyczące określenia zawodu dziennikarskiego i jego godności. Określenie to dosyć trudne. Według zdania większości, za dziennikarzy uważać należy tych tylko, którzy żyją wyłącznie lub przeważnie z pióra. Jeden z najpoważniejszych punktów, który trzeba pomieścić w programie przyszłego kongresu, stanowić ma pytanie: z jakich pierwiastków składać się mają syndykaty prasy?

Następnie roztrząsano kwestyę zmniejszenia taryfy telegraficznej. Kongres postanawia robić starania u wszystkich rządów w tym kierunku. W Anglii dziennikarze płacą 1-go szylinga (60 cent.) za 75 słów, przesłanych telegraficznie podczas dnia, a w nocy, gdy ruch jest mniejszy, płacą tylko za 100 słów; dopiero tego reportersy, wysyłający tę samą depeszę do kilku dzienników, płacą za każdy duplikat tylko 3 pensy (około 5 centów). [illegible] europejskie skorzystałyby wielce na podobnych ustępstwach, zapewniających prasie, a narody mogłyby być szybko i dokładnie informowane o wszystkich ważnych wypadkach.

Redaktor belgijskiego organu *Le Matin*, Heinzman-Savino, wyłożył następnie swój projekt wykształcenia fachowego dziennikarzy, biorąc za podstawę tego wykształcenia program szkoły nauk politycznych w Paryżu. Wykształcenie klasyczne nie dostarcza niezbędnych wiadomości tym, którzy codzień prawie muszą wygłaszać swą opinię o najrozmaitszych kwestyach politycznych, socyalnych i ekonomicznych. Dziennikarz — to historyk bieżącej chwili; powinien posiadać wykształcenie ogólno-humanitarne, zmysł spostrzegawczy, [illegible] stosunek rzeczy, dar syntezy, powinien pamiętać, że dzienniki są jedynym literackim pokarmem, którym żywią się masy, i dbać o czystość ojczystego języka. Autorowi projektu jednozgodnie powierzono zebranie odpowiednich materyałów i wiadomości o stanie różnych instytucyj, znajdujących się we Francyi, Austryi i Berlinie i mających na celu wykształcenie przyszłych dziennikarzy. [illegible] z działalności w tym kierunku ma być złożony na najbliższym międzynarodowym kongresie prasy.

Miss Gracya Benedykta Stuart przeczytała po angielsku piękny raport o kobietach angielskich w dziennikarstwie. Przesilenie ekonomiczne zmusiło kobiety do szukania zajęcia jako nauczycielki, subjektki, wreszcie jako dziennikarki. Wszakże przesądy tamowały ich postęp, lecz specyalne zalety kobiece, cierpliwość i wytrwałość, zapewniły zwycięstwo. Delikatność uczuć, takt, dar opisowy i głęboka znajomość specyalnych gałęzi, takimi przymiotami odznaczają się dziennikarki.

W dalszym ciągu delegacya redakcyi *Etoile Belge* proponował utworzenie sądu honorowego w razie nieporozumień między dziennikarzami, lub między redaktorami i współpracownikami. Wniosek został jednomyślnie przyjęty.

Następnie delegaci francuscy podnieśli kwestyę odpoczynku niedzielnego; projekt popierali silnie delegaci angielscy. W Anglii, jak wiadomo, dzienniki nie wychodzą w niedzielę; w ten sposób współpracownicy są zupełnie wolni w sobotę po południu; do opracowania numeru poniedziałkowego przystępują dopiero w niedzielę o 6-ej wieczorem.

W końcu kongres postanowił nie robić edycyi niedzielnych, wszakże pod warunkiem wypuszczania specyalnych biuletynów o okazyi ważnych wypadków.

KRONIKA.

Lwów 25 lipca.

Mianowania. Zastępca starszego prokuratora we Lwowie, Stanisław Przyłuski, otrzymał tytuł radcy sądu krajowego. Wacław Starek i Franciszek Kadlec mianowani rzeczywistymi nauczycielami w państwowej szkole przemysłowej w Bielsku, zaś p. Tadeusz Mostowski, kons. budowniczy, rzeczywistym nauczycielem w państwowej szkole przemysłowej we Lwowie, a architekt p. Władysław Ekielski, rzeczywistym nauczycielem w państwowej szkole przemysłowej w Krakowie.

Doktoryzacye. Na uniwersytecie jagiellońskim otrzymali pp. Franciszek Swiderski, rodem z Jasła, stopień doktora teologii, Roman Marek i Adolf Piller z Krakowa stopień doktorów prawa, Bogdan Babski z Krakowa, Fr. Dobija z Mikuszowic, Stanisław Jankiewicz z Podgórza, Teofil Krółikowski z Krakowa, Władysław Smolarski z Podgórza, Jan Landau z Krakowa i Dawid Sternbach z Drohobycza stopień doktorów medycyny.

Przeor Paulinów na Jasnej Górze częstochowskiej, ks. Fiot Kubarski, obchodził półwiekowy jubileusz kapłaństwa.

L. Teitmajer, rodak nasz, profesor politechniki w Zurychu, powołany został na opróżnioną katedrę w politechnice w Monachium.

Komisya kolonizacyjna kupiła majątek ziemski Janowiec w Prusach zachodnich.

Czesi krakowscy zgrupowani około tamtejszego stowarzyszenia „Czeska Beseda" wybierają się gromadnie do Lwowa. W niedzielę rano uczestnicy tej wycieczki staną we Lwowie.

Z Wielkopolski wyrusza wycieczka na wystawę nieodwołalnie 30 b. m. Bierze w niej udział 120 osób, w znacznej części młodzież gimnazyalna i uniwersytecka. Wyjazd jest nieodwołalny. Wycieczkę prowadzi p. Dobrowolski. Punkt wyjazdu Poznań.

Z wystawy krajowej. Wczoraj zwiedziło wystawę 5697 osób, panoramę 1710, pałac sztuki 645, muzeum Matejki 736 osób. Upał powstrzymywał przez dzień cały mieszkańców, wieczorem dopiero plac wystawy zaroił się od tłumów publiczności. Wczoraj zwiedzali wystawę uczestnicy zjazdu lekarzy i przyrodników, oraz dziatwa szkolna z Trembowelskiego, która przybyła w liczbie 120 pod przewodnictwem trembowelskiego starosty i nauczycieli. Dziatwa ta zabawi we Lwowie dwa dni. Jutro przybędzie z Krakowa 320 dzieci szkolnych i 120 dzieci włościańskich z Podniestrzan. W sobotę przybędzie korpus wakacyjny z Tarnowa, w niedzielę zaś dnia 5 sierpnia przyjadą „dzieci krakowskie" z parku Jordana i popisywać się będą na boisku wystawowem swemi gimnastycznemi ćwiczeniami i wojskowemi ewolucyami. Wycieczce tej przewodniczyć będzie dr. Henryk Jordan, założyciel parku swego imienia.

W niedzielę dnia 29 bm. odbędzie się na boisku gimnastycznem tombola.

Przy głębokiem wierceniu dotarto już do 268 metrów, od 32 metra świder ciągle wierci opokę. W 208 metrze odkryto pył wodny. Geologowie są zdania, że, gdy świder przewierci grubą pokład opoki, to niezawodnie pod nim znajdować się będzie obfity zbiór wody.

W ostatnich dniach września odbędzie się drugi zjazd w sprawie kas chorych. Komisya zjazdowa poczyni przygotowania co do kwater i ułatwi — ile to będzie możebne — zwiedzanie wystawy. Prawo zabierania głosu w obradach będą mieli tylko delegaci (na 500 członków 1 delegat).

Odczyt T. T. Jeża „O zadaniach powieści polskiej" zgromadził w hali koncertowej na placu wystawy sporo słuchaczy. Prelegent scharakteryzował rozwój powieści, która była początkowo fantastyczną, później sentymentalną, romantyczną, wreszcie dziś stała się realistyczną. Powieść powinna być zwierciadłem życia, a warunkiem, pod jakim ona może służyć społeczeństwu, jest prawda. [illegible] publicznej powinna podawać dokumenty życia społecznego, karcić złe, budzić w narodzie samodzielność, nie dać upadać energii jego ducha, bez których czynników [illegible] pod ciosami, jakie na niego spadają, zniknąćby musiał.

Ślub panny Eugenii Stronerówny, córki pp. Adolfów Stronerów, z p. Ignacym Stronerem, [illegible] powiatowym w Wyżnicy na Bukowinie, odbędzie się w lwowskim kościele bernardyńskim 4 sierpnia o 7ej wieczorem.

Zmarły poeta francuski Leconte de Lisle należał do najbardziej utalentowanych pisarzy nowoczesnych. Jako poeta kochał się w świecie starożytnym, na nim wzorował swoje utwory, ztąd też początkowo nie mógł zjednać sobie popularności. Talent jego skrystalizował się najsilniej w zbiorze p. t. „Poemes barbares", gdzie wspaniały język i skończony artyzm w przedstawianiu obrazów doszły do zenitu. Znakomitemi są również dokonane przez Leconte de Lisla tłómaczenia „Illiady" i „Odyssei". W młodości Leconte podróżował wiele po Wschodzie, przejechał pół kuli ziemskiej, osobliwie szczegółowo zwiedzał Indye. Pod koniec życia zamieszkał pod Paryżem.

Gimnazyum polskie w Cieszynie. Sprawa założenia tego gimnazyum posunęła się o krok naprzód dzięki ofiarności hr. Ignacego Milewskiego, znanego mecenasa sztuk pięknych i filantropa, który złożył na ten cel 1000 zł. Dotąd zebrano na gimnazyum polskie czterdzieści kilka tysięcy złr., gdy kwota ta dojdzie do stu tysięcy, rozpocznie się budowa. Średni zakład naukowy polski na Szląsku jest dla społeczeństwa tamtejszego kwestyą pierwszorzędnej wagi, gdyż tylko on potrafi wytworzyć inteligencyę polską z młodzieży, która dziś przechodząc przez alembik szkół niemieckich, w przeważnej swej części asymiluje się do większości. Dopiero, gdy powstanie gimnazyum polskie, skończy się germanizacya w średnich warstwach i Polacy zajmą stanowiska urzędników państwowych i autonomicznych, dziś obsadzone przez Niemców lub zniemczonych Szlązaków.

Sprawa o rezydencyę cadyka Jaką potęgą są żydowscy rabini cudotwórcy, dowodzi fakt, który się wydarzył na Podolu. W Husiatynie umarł niedawno cudotwórca rabin. Po jego śmierci syn objął opróżnione krzesło rabinackie, a równocześnie powstała kwestya założenia nowej stolicy dla zięcia, gdyż widocznie liczba istniejących rabinów okazała się za szczupłą w stosunku do faktycznych potrzeb podolskich chasydów. Z chwilą jak wywiązała się kwestya nowej rezydencyi cadyka, każde z miasteczek tamtejszych chciało mieć zaszczyt tytułowania się siedzibą cudownego rabina i stąd powstały formalne wyścigi w składaniu hołdów i prezentów kandydatowi przeznaczonemu na tę nową godność, który tymczasem u swojego kuzyna, cadyka czortkowskiego, bawił dla większego wyćwiczenia się w zawodzie. Otóż do jakiego stopnia doszła wzajemna konkurencya o pozyskanie rabina, świadczy fakt, że z Trembowli wyruszyła imieniem miasta osobna deputacya do Czortkowa z burmistrzem dr. Olpińskim, posłem sejmowym, na czele. Ta deputacya, najznakomitsza ze wszystkich, uczyniła podobno na chasydach kolosalne wrażenie. Mimo to jednak pokazało się, że szanse trembowelskie nie dorównały szansom miasteczka Kopyczyniec, gdyż to ostatnie miasteczko wybrał rabin czortkowski dla swego bratanka. Ażeby wyjaśnić powód, dla którego tak gorliwie starały się gminy podolskie o pozyskanie dla siebie osoby nowego cadyka, dodajmy, że takie miasto, w którem mieszka rabin cudotwórca, ma olbrzymie dochody z nieustających prawie pielgrzymek żydowskiego tłumu. Jest to zatem, oprócz kwestyi honoru, także kwestya zarobku dla zżydziałych miasteczek podolskich.

W Czernichowie pod Krakowem spaliły się cztery domy, a w sąsiedniej miejscowości Czernichówku ośm domów i trzy stodoły.

Nowy środek na suchoty. Genewski doktor Viquerat ogłosił broszurę, w której zwiastował światu wielką nowinę, że suchoty są stanowczo uleczalne sposobem prędkim, łatwym i wcale nie przeszkadzającym chorym w prowadzeniu ich zwykłego zajęcia. Doktor Viquerat tak pisze:

Laseczník tuberkulozy dla rozwoju swego i rozmnażania się potrzebuje specyalnego podłoża i wielkiej ilości tlenu; posiada on własność przyciągania ciałek krwi (*Anlockungskraft* Niemców, *action chimiotactique positive* Francuzów). Jeżeli więc zastrzykniemy laseczníka tuberkulozy w tętnicę zwierzęcia wrażliwego na działanie zarazka, znajdzie się on w środku sprzyjającym sobie, w następstwie zaś, dzięki wspomnianej wyżej *Anlockunskraft*, wytworzy się dokoła niego zbiorowisko ciałek krwi, stanowiące tuberkułę. W dalszym ciągu działania tego tuberkuły ściągną ku sobie znaczną ilość krwi, która w końcu, dobywając się z naczyń mniej lub więcej obfitą wydzieliną, wysiąkiem (*exsudation*), dostarczy laseczníkom potrzebnego tlenu. Ale wydzielina ta właśnie całe stanowi niebezpieczeństwo choroby; ona to zabija w tuberkulicznem zapaleniu błon mózgowych (puchlinie wodnej mózgu); ona niebezpiecznem czyni zapalenie tuberkuliczne błony brzusznej, a wyzdrowienie w wielu wypadkach następstwem było prostego nacięcia, umożliwiającego odpływ wysiąku. Gdy bowiem ten ostatni nie naciska już naczyń, odprowadzają one do serca krew przyciąganą ku tuberkułom, skutkiem czego laseczniki, nie mając dostatecznej ilości tlenu, przestają się rozwijać.

Dr. Viquerat twierdzi więc, że laseeznik tuberkulozy nie wydziela ani ciał trujących, ani ulegających rozkładowi, że nie jest zatem niebezpiecznym sam z siebie i że staje się nim jedynie, wywołując zapalenie i wysiąk, których następstwem dopiero zaburzenia śmiertelne. Jako dowód wskazuje nam przebieg choroby w organizmach zwierząt odpornych. Jeżeli w żyły osła zastrzykniemy laseczníka tuberkulozy, ulokuje się on w płucach, a ponieważ nie znajdzie tu sprzyjającego sobie podłoża, nie rozmnoży się, nie przyciągnie krwi i nie wywoła wysiąku, a zwierzę po miesiącu do zupełnego wróci zdrowia; dostawszy się do błony mózgowej, także nie wywoła zapalenia.

W wypadkach zatem tuberkulozy ostrej u człowieka (*tuberculose miliaire aiguë*), jak zapalenie wyżej wzmiankowane, dość jest ułatwić odpływ wysiąku dla powrócenia zdrowia; trepanacya czaszki np. powstrzyma zapalenie błony mózgowej.

Ale u człowieka wypadki tuberkulozy ostrej daleko rzadsze są od przejawów jej chronicznych, pozbawionych wysiąku, ale związanych z wydzielaniem się ciała specyalnego, przypominającego ser (*matière caséeuse*). Gdy ciało to w płucach dostanie się na działanie powietrza, wnet się rozkłada, na jego zaś miejscu występują wgłębienia (*cavernes*), wypełniające się zwyczajnemi mikrobami ropnemi; a wtedy śmierć nie tyle dziełem jest laseczníka tuberkulozy, jak następstwem przewlekłego ropienia, wycieńczającego organizm.

Cóż zatem czynić? Osioł odporność swoją na tuberkulozę zawdzięcza pewnemu nieznanemu ciału, wchodzącemu w skład jego krwi, a która się z niej i wydzielinom jego dostaje, a mianowicie mleku. Ciało to nie dopuszcza *kaseifikacyi*, tj. wytwarzania się materyi serowatej. I rzeczywiście, przy stosowaniu zastrzykiwań podskórnych z krwi oślej na świnkach morskich, zakażonych poprzednio tuberkulozą, a powtarzanych co drugi dzień, te ostatnie przychodzą do zdrowia; dr. Viquerat, jak zapewnia, posiada kilka osób od roku już wyleczonych. Zaleca więc wstrzykiwanie podskórne, co drugi dzień dziesięciu centymetrów sześciennych (czyli łyżki stołowej) surowicy (krew oddzielona od skrzepu) oślej we wszystkich wypadkach tuberkulozy płucnej i innej, w których nie przyszło jeszcze do ropienia; środek to zupełnie niewinny; radzi prócz tego pić mleko ośle.

Dr. Viquerat proponuje zatem: 1) W wypadkach tuberkulozy ostrej użycie operacyi ułatwiających odpływ wysiąku. 2) W wypadkach chronicznych zastrzykiwanie podskórne surowicy oślej. Tego ostatniego środka jednak nie zaleca używać tam, gdzie już przyszło do ropienia i powstawania wgłębień, jamek (*cavernes*).

Życie w hotelach Cudzoziemcowi, przybywającemu do Londynu podczas *season*, dziwnem się wyda, że życie hotelowe i jadanie w restauracyach tak głęboko się zakorzeniły w zwyczajach angielskich. Niedawno jeszcze Anglikowi dobrego towarzystwa nie przyszło na myśl obiadować w restauracyi, lub mieszkać w hotelu, tak, jak dziś; pokazać się na ulicy w porze obiadowej w czarnem ubraniu i białym krawacie. Co się tyczy dam, wyobrażały sobie one, iż restauracye są miejscami, mającemi złą reputacyę. Anglicy uczęszczali do tych zakładów tylko podczas podróży po lądzie stałym.

Nagły wzrost liczby pierwszorzędnych hoteli wpłynął na zmianę trybu życia. W pięknem położeniu, po większej części w pobliżu parków, w środku dzielnic arystokratycznych lub nad brzegiem Tamizy hotele te urządzone są z komfortem, o którym mogą dać pojęcie tylko niektóre tego rodzaju zakłady na Rivierze.

Zamiast mieszkać w czasie sezonu w pokojach umeblowanych lub najmować na kilka tygodni dom, którego właściciel wyjechał, przedstawiciele arystokracyi i *gentry*, przebywający zazwyczaj na wsi, zjeżdżają się do Londynu, zamieszkują w hotelach i znajdują w nich nie umeblowanie banalne, lecz urządzenie wykwintne w wyszukanym guście, doskonałą służbę i wyborną kuchnię. Dopiero w roku bieżącym kuchnia francuska naprawdę przeniosła się do Anglii, która pozabierała Paryżowi najlepszych i najdroższych kuchmistrzów i wkrótce może nadejść czas, iż kto zechce dobrze zjeść, będzie musiał jechać do Londynu.

Dogodności hotelowe umiano ocenić tak dalece, iż kobiety bogate, posiadające domy urządzone, wyprawiają obiady i bale w hotelach. To też nierzadko można dostać bilet treści następującej: „Lady X... przyjmuje w hotelu Z... (sala fechtunku) o godz. 10 (tańce)".

Jak się czasy zmieniły! Cóżby powiedziała np. lady Blessington, przyjaciółka ks. Orsay, ks. Ludwika Napoleona i tylu wybitnych osobistości które poprzedziły drugie cesarstwo, gdyby zaręczano jej, iż nadejdzie dzień, w którym towarzystwo angielskie żyć będzie w oberży i jadać w restauracyach? Któż mógł przewidzieć w Londynie pomiędzy rokiem 1835 a 1845, iż w mieście stanie kilkanaście gmachów, urządzonych jak pałace, w których można wygodnie mieszkać przez czas dłuższy lub przyjmować znajomych i przyjaciół, zainstalowawszy się na jeden wieczór.

Co wieczór do kilkunastu restauracyi w różnych dzielnicach miasta, przy hotelach założonych, ciśnie się tłum osób należących do najlepszego towarzystwa. W salach jadalnych, gustownie ozdobionych, wyłożonych dywanami, w których nogi zagłębiają się jak w trawnikach parku, przy stołach zamówionych zawczasu, grupują się najwybitniejsi przedstawiciele klasy, która w Londynie zwie się „society", oraz dyplomacyi, polityki, literatury, sztuki i arystokracyi zagranicznej. Przy świetle lamp elektrycznych, przyciemnionych zasłonami, widok stołu okrytego kwiatami, balowych toalet dam, odbijających od czarnego ubrania mężczyzn, jest w swoim rodzaju prześliczny. W zebraniach tych panuje miły ton zażyłości towarzyskiej, gdyż osoby spotykające się przy stole, spotkają się wieczorem w teatrze, a nazajutrz znów na obiedzie. O godz. 12½ w nocy prawo nieubłagane dla hoteli wymaga, by zakłady restauracyjne były pozamykane. Gasząc powoli światła jedne po drugich, służba uprzedza o tem dyskretnie gości. W kilka minut później sale są już puste i ostatnie karety i caby rozjeżdżają się w różnych kierunkach.

O pocałunek. Podobnie jak siedm miast greckich walczyło między sobą o zaszczyt chlubienia się, że wydały na świat Homera, tak samo pięć miast bawarskich prowadziło pomiędzy sobą zacięte spory o zaliczenie pomiędzy swoich synów Wolframa z Eschenbachu. Wszystkie pięć nazywają się Eschenbach, a walka mogła się ciągnąć w nieskończoność, bo żadne z nich, prócz swego nazwiska, innego nie miało dowodu co do pochodzenia autora „Titurela" i „Parsifala". Jedno z nich jednak, Eschenbach w górnym Palatynie, rozwija najczynniejszą działalność, aby swym pretensyom nadać przewagę. W braku dokumentów historycznych, magistrat miejscowy wpadł na myśl, aby za pomocą

Feljeton literacki.

(„Siostry", powieść Zofii Kowerskiej).

Z pośród wielu kolegów i koleżanek po piórze, pani Kowerska wyróżnia się tem szczególnie, że umie widzieć opisywane przez siebie przedmioty, a brane z życia typy i charaktery analizuje normalnie, t. j. stosuje do nich rzeczywistą i zdrową, a nie fikcyjną lub chorobliwą miarę etyczną. Ekspozycya jej i forma odpowiadają najzupełniej wymaganiom jasności stylistyki. Wreszcie czytelnik jej utworów odczuwa mimowolnie, co autorka w swoich postaciach i scenach ukochała, a co było jej nienawistne. Dlatego też do oceny powieści pani Kowerskiej krytyk zabiera się z pewnem, z góry powziętem zaufaniem. Wie on, że autorka w tem lub owem mogła zbłądzić, lub nawet co do niektórych szczegółów nie wypełnić właściwej swemu talentowi skali, ale wie także, iż mu dała utwór zdrowy, szczery, głęboko pomyślany, utwór, oparty na sumiennej analizie i obserwacyi, wreszcie przybrany w szatę prawdziwie artystyczną.

Z tem apriorystycznem przeświadczeniem braliśmy do ręki ostatnią powieść pani Kowerskiej „Siostry" i wyznajemy szczerze, iż kończąc jej ostatnią kartę, nie zmieniliśmy go zgoła.

Oto w głównych zarysach treść „Sióstr".

Do domu państwa Rzeweckich przybywa na bal Zygmunt Belmoński, który po wielu latach ciężkiej pracy nad ocaleniem ojcowizny, wreszcie ma prawo odetchnąć swobodniej i zażyć resztek swojej młodości. Oskar Rzewecki, niegdyś jego kolega, wspiął się wysoko po szczeblu społecznym. Zajmuje on poważne stanowisko obywatelskie, rady jego i zdania poszukują zewsząd, nic się bez niego nie dzieje, tonie po uszy w usługach i pracy publicznej. Tak się przedstawia Oskar na zewnątrz, tak go ocenia świat i ci wszyscy, którzy poznają złoto tylko po tem, że świeci. W gruncie rzeczy Rzewecki jest zupełnie inny. Stanowi on typ blagiera i pozera w każdym calu. Wszystko, cokolwiek czyni, robi dla rozgłosu, dla próżnej chwały, dla pozy. Z tej strony zna go żona, a powoli poznaje także i Zygmunt. Nic dziwnego, że w tych warunkach pani Zofia Rzewecka straciła pierwotną gorącą miłość dla męża, że nie posiada nawet dla niego szacunku, pozostały jej jednak, jako kobiecie prawej, [illegible] cia. W duszy jej rodzi się wprawdzie pewna gorycz, niemniej jednak nie zbacza na krok jeden z drogi uczciwej. Przy pani Józefie zamieszkuje jej młodsza siostra, Mania. Dziwne to stworzenie posiada jeden jedyny przymiot: ładną twarz, zresztą serce jej zimne, jak głaz, umysł płytki, a wszystkie pragnienia i ideały skoncentrowały się w żądzy błyszczenia i zjednywania sobie wielbicieli, a w rezultacie korzystnego wydania się za mąż. Tą ładną twarzą i dobrze maskowanymi pozorami naiwności zdobywa sobie serce Zygmunta, który się oświadcza o jej rękę. Belmoński jednak jest biedny, a Mania, która tylko bawiła się jego uczuciem, odmawia mu. Zygmunt odjeżdża niepocieszony. Tymczasem w materyalnem położeniu jego zachodzi niespodziana zmiana: śmierć bowiem nagła stryja czyni go dziedzicem wielkiej fortuny. Mania nie może sobie darować nieopatrznej odmowy. Los jednak sprzyja jej rachubom, gdyż wypadkiem spotyka Zygmunta w Nałęczowie, który, nie bacząc na sromotną rekuzę, ponawia swoje oświadczyny i zostaje przyjęty.

Niebawem spadkobierca milionów Piotra Belmońskiego uwozi młodą, promieniejącą zadowolnieniem żonę do iście książęcej siedziby w Zarębiu.

Tygodnie miodowe młodej pary przerywa, jak grom spadający z pogodnego nieba, nagła śmierć Oskara. Jak żył, umiera on blagierem i pozerem. Interesa pozostawia w stanie opłakanym, tak, że pani Józefa, nie przyjąwszy gościny u szwagra, zmuszona jest pracować na własne utrzymanie przez udzielanie lekcyi.

Tymczasem nad pożyciem małżeńskiem Zygmuntostwa zaczynają gromadzić się chmury, z początku małe, później coraz większe, a z pośród nich wyziera wyraźnie groza rozczarowania. Belmoński poznaje całą nicość moralną i duchową, jakiej olśniony pięknością swojej żony, nie dopatrzył się w niej od pierwszej chwili. Płytka ta kobieta szuka zabawy i tylko zabawy; otacza się rojem pokrewnych jej lekkoduchów, kokietuje na wszystkie strony. Dom, mąż, schodzą na ostatni plan, a wśród gorączkowej gonitwy za rozrywką, zacierają się w niej resztki poczucia etycznego. Nawet przyjście na świat dziecka nie jest w stanie jej opamiętać.

W tej chwili tak krytycznej, przybywa do Zarębia pani Józefa i z konieczności obejmuje ster wychowania małego Jasia. Widzi ona ciężką dolę Zygmunta, jego rozczarowanie, a nie może znaleźć nawet słowa pociechy, bo Mania zrzuciła już wszelką maskę i odkryła całą swoją płytką a przewrotną naturę. Belmoński w swojem nieszczęściu zbliża się coraz więcej ku pani Józefie, której wielkie przymioty serca i duszy, stanowiące tak drastyczny kontrast z siostrą, porywają go. Bezwiednie do obu znękanych serc zakrada się uczucie inne. Zygmunt i Józefa bronią się mu wszelkiemi siłami, jest już jednak zapóźno i miłość nie zmysłowa, lecz wypływająca z pokrewieństwa dusz, pęta ich coraz silniej. Dla obojga wytwarza się położenie straszne. Sumienie i uczciwość odkrywają im całą potworność tego uczucia i poddają serca okrutnej katuszy.

Józefa pierwsza zdobywa się na siłę. Opuszcza nagle dom Belmońskich, pozostawiając list, który odsłania całą jej szlachetną naturę, „Musimy się rozdzielić na zawsze — pisze do Zygmunta. — Taka miłość, jak nasza nie ma prawa łączyć ludzi... od takiej uciekać trzeba. Bóg da nam siły etc." Józefa wstępuje do Szarytek, Zygmunt zaś walczy z podkopującą jego zdrowie chorobą i postanawia na dłuższy czas wyjechać na południe. Przed wyjazdem radby jednak usłyszeć ostatnie słowo pożegnania. Idzie do klasztoru. Tu jednak otacza go na wstępie ów spokój, co balsam pociechy i ukojenia zlewa do duszy. Więc opamiętywa się i widzieć Józefy już nie pragnie.

— Nie zamącę jej ani na chwilę spokoju — powiada do siostry przełożonej — nie opóźnię dla jej duszy zstąpienia do tego szczęścia, którego siostry macie tajemnicę.

— To nie tajemnica żadna — rzecze siostra z prostotą — ludzie świeccy tego nie rozumieją, a recepta taka łatwa... Ot, zwyczajna rzecz. Tylko zaprzeć się siebie, zapomnieć zupełnie o sobie, nic więcej.

Oto filozofia, jaką wynosi Zygmunt na dalsze, ciężkie zapewne życie.

Gdyby nam pani Kowerska w swoich „Siostrach" nie dała nic więcej nad dwie, tak oryginalnie pomyślane i do gruntu wystudyowane postacie, jak Oskar Rzewecki i Mania, wystarczyłoby to już, aby jej powieść nazwać cennym dla literatury nabytkiem. Blagierów, kłamców, pozerów, zdarzyło się nam często spotykać w różnych powieściach, nowelkach, komedyach, dramatach i t. d. Oskar jest jednak typem odmiennym i zupełnie nowym. Blagę i pozę jego pod pewnym względem nazwaćby można w wielkim stylu. Za pomocą niej zdobywa on sobie powszechne uznanie, powagę i stanowisko, ukrywa umiejętnie próżność i ambicyę i tak się ona z nim zrasta, w taki przechodzi u niego nałóg, że ostatecznie upaja i otumania siebie samego. Nawet w ostatniej chwili, kiedy śmierć mu już zagląda w oczy, na widok przybywającego doń biskupa z ostatnią pociechą, pozuje na umierającego i ta poza odarza go w ten sposób, iż bezwiednie kończy.

Lekkie i płoche kobiety również nie są nowością.

Mania jednak pani Kowerskiej jest typem nowym i zupełnie oryginalnym. Charakterystyczną jej cechą nicość umysłowa i moralna, tak dalece posunięta, że nie ma nawet poczucia złego, które popełnia, ani jakie wyrządza. Jeżeli nie spada do kałuży występku, to bynajmniej nie przez zmysł etyczny, ale skutkiem braku wszelkiej namiętności. Egoizm przeniknął ją do szpiku kości; próżność wypełniła wszystkie władze czucia i myślenia. Jest to ćma, krążąca około płomienia występku, dlatego jedynie, że ją pociąga swoim blaskiem. Jej kokieterya, żądza przelotnych podbojów, nie mają swego środka w zmysłowości, ale w karłowatej duszy, w mdłej naturze, która nie pozwala jej rozumieć, co złe, a co dobre, a która ma tylko jeden cel, jeden ideał — błyszczeć za jakąbądź cenę! O kobiecie najniżej upadłej, plugawej, jeszcze można powiedzieć, że się podniesie, o Mani nigdy, bo w niej zanikło sumienie, bo ona w żadnym kierunku złym czy dobrym, na siłę się nie zdobędzie.

Doprawdy, trzeba umieć patrzeć doskonale, obserwować wytrwale i misternie, analizować głęboko, żeby stworzyć dwa podobne typy i jeżeli pani Kowerska nie miała ich przed oczami, jeżeli swoich studyów nie czyniła *in anima vili*, to niech sobie pozwoli powinszować wybornej intuicyi.

Józefa i Zygmunt stanowią dwie pokrewne sobie natury: obie szlachetne i do gruntu uczciwe. Józefie zarzucilibyśmy jednak pewien brak równości i konsekwentnego przeprowadzenia charakteru. Kobieta ta, zbrojna w gorzkie doświadczenie życiowe, wiedzieć powinna, jak niebezpiecznie igrać z ogniem i dlatego utonięcie jej w sentymentalizmie niemal na oślep, a raptowny odwrót wtedy dopiero, kiedy staje prawie na krawędzi występku, nie wydaje się nam należycie usprawiedliwione.

Co do Zygmunta, to niech nam daruje pani Kowerska, ale nie udał się on jej zupełnie. Autorka wyśrubowała go na szlachetnego bohatera powieści, wtenczas, kiedy od pierwszej chwili nie ma w nim ani szczypty charakteru. Odkąd po fatalnej odprawie ze strony Mani, wraca do niej powtórnie i sięga po jej rękę, chociaż wie, że oddaje mu ją tylko skutkiem milionowej sukcesyi po stryju, Zygmunt stracił wszelkie prawo do sympatyi czytelnika, który wszystkie jego następne nieszczęścia uważać musi za sprawiedliwie zasłużoną karę. A w stosunku do Józefy, czyż jest w nim choćby trochę trzeźwej szlachetności, męzkiej woli i energii? Ulega uczuciu bezwolnie, nie ma siły ani iść naprzód, ani się cofnąć; jęczy, utyskuje, narzeka, ale błędne koło niedołęztwa własnego otacza go i ubezwładnia zupełnie. Nie! nie! Zygmunt nie ma w sobie ani jednego rysu szlachetnego bohatera.

Nie podoba nam się wreszcie matka Zygmunta, osoba dobra, tkliwa, patrząca na świat trzeźwo, do syna przywiązana gorąco, a jednak tak niemiłosiernie i zgoła niezasłużenie surowa i okrutna dla Józefy.

Błędy te, a raczej usterki, nie wpływają jednak na żywość akcyi, która płynie bystro, ani na realny koloryt scen i sytuacyi, ani wreszcie na artystyczną wartość całości. W powieści swojej pani Kowerska nagromadziła tyle rzeczy pięknych, rysów prawdziwych, okazała takie znawstwo natury ludzkiej, że słusznie zaliczyć możemy „Siostry" do lepszych utworów, jakie w ostatnich czasach zdarzyło się nam czytać.

Ch.

wielkich festynów, poświęconych pamięci minnesängera, zkłoaić Europę do uznania odnośnych praw miasta. Festyny te miały się odbyć w tym roku i program obejmował przedstawienie sztuki pt. „Wolfram z Eschenbachu". Napisanie tej sztuki powierzono Pawłowi Heysem. Usiłował on przedstawić bohatera swego w całej glorii: pokazuje go, jako dzielnego wojownika, słynnego poetę i czułego kochanka. W tym ostatnim charakterze, między innemi, każe mu wymieniać z damą swego serca — najniewinniejszy pocałunek miłości. Magistrat w Eschenbach był zgorszony i zażądał od poety, aby zmienił odpowiednio scenę w dramacie. Heyse odmówił i wówczas Eschenbach podzielił się na dwa zajadle walczące ze sobą obozy. Nieustające kłótnie i spory o sprawę pocałunku uniemożliwiły przyprowadzenie do skutku festynu w roku bieżącym. Ostatecznie magistrat ustąpił i zdecydował się grać sztukę bez zmian w roku przyszłym.

Pożar kościoła. W Harklowy koło Jasła spalił się drewniany kościół parafialny. Pożar wszczął się 21 prawdopodobnie rano, gdy proboszcz wyszedł już z kościoła; po jego wyjściu paliło się wewnątrz niepostrzeżenie aż do godziny pierwszej po południu, gdy ktoś ze służby kościelnej przyszedł dzwonić na nieszpory. Kościół był bardzo ładny, stał zaledwie 34 lat, w ostatnich czasach proboszcz powiększył go i wzbogacił wielu przedmiotami.

Morderca Belczewa. Z Bukaresztu donoszą, że władzom rumuńskim udało się schwycić mordercę byłego ministra bułgarskiego Belczewa. Jest nim 22-letni Albańczyk Iwan Tosder, zamieszkały od dwóch lat w Dobruczy. Był on dawniej służącym w serbskim konsulacie w Sofii i wspólnie z drugim służącym tego konsulatu popełnił ową zbrodnię, spólnik ten jednak umknął i nie wiadomo gdzie się obraca. Na ślad mordercy naprowadził władze pewien wieśniak rumuński z Dobruczy nazwiskiem Bocsawrow, który w liście wystosowanym do bułgarskiego ministra spraw zagranicznych oświadczył gotowość wskazania za stosownem wynagrodzeniem mordercy Belczewa.

W Kijowie umarła w późnym wieku wdowa po pułkowniku, Paulina Jaroszyńska, rodem z Królestwa Polskiego. Staruszka ta przeżyła sto lat.

O cholerze donoszą nam z Petersburga 17 b. m.: Straszny, choć spodziewany gość, cholera, zawitała do nas w roku bieżącym o miesiąc wcześniej, niż w przeszłym i pozaprzeszłym i przywędrowała tym razem nie lądem od wschodu, lecz z zachodu przez Kronsztadt. Miasto przyjęło z początku cholerę z daleko większym spokojem, niż lat poprzednich. Trudno powiedzieć, czy spokój ów wypływał z rezygnacyi, czy też był wynikiem pewnego ostrzelania się z epidemią i jej lekceważenia. Zarząd jednak miejski i komisya sanitarna, jakkolwiek nieprzygotowana do tych niepożądanych odwiedzin, wytęża całą swą energię, aby, o ile można, zapobiedz rozwojowi cholery, wobec okropnej siły, z jaką wybuchła w tym roku w stolicy.

Komisya sanitarna wydała i kazała rozlepić po całem mieście odezwę do mieszkańców, zalecając środki ostrożności, oraz pouczając co do ratunku w razie nagłego zasłabnięcia. Nadto zarząd miejski wszedł w porozumienie z naczelnikiem miasta i zobowiązał właścicieli restauracyi i szynków do bezpłatnego udzielania przegotowanej wody. W tych dniach, na ulicach przy drzwiach traktyerń i zakładów spożywczych, wystawiono na użytek publiczny beczki lub rury zaopatrzone w krany i kubki, z napisem „przegotowana woda", wreszcie [illegible] w niedzielę i dnie świąteczne. Wczoraj w szpitalach było chorych na cholerę 586, z nich wyzdrowiało 30, umarło 69, przybyło nowych 158, obecnie jest 635. Cyfry te zatem przypominają poniekąd cholerę w Hamburgu w roku 1892.

Praca polska na Kaukazie. W Tyflisie uroczyście obchodzono jubileusz pięćdziesięcioletniej pracy naczelnika kaukaskiego okręgu komunikacyi, inżyniera Bolesława Statkowskiego, którego nazwisko trwałe ślady pozostawi w historyi Kaukazu. Karyerę swą rozpoczął on tam w r. 1844. Do największych jego zasług należy przeprowadzenie szosy przez grzbiet gór kaukaskich, studya nad lodowcem Kazbeka i plan kolei, mającej przecinać łańcuch Kaukazu i łączyć Europę z Azyą. Szosa, zbudowana przez Statkowskiego, a będąca jednem z arcydzieł sztuki inżynierskiej, idzie od stacyi Kobi na wysokości 6500 stóp, dalej wznosi się na wysokość 7977 stóp i przechodzi przez Krzyżową przełęcz, zniża się do stacyi Mlety i kończy się u Mcchetu. Szosa ta stanowi najważniejszą część gruzińskiej drogi wojskowej, łączącej Władykaukaz z Tyflisem. Badania niebezpiecznego ruchu lodowca, grożącego owej drodze gruzińskiej, zostały streszczone w osobnym referacie, posiadającym znaczną wartość naukową; plan kolei przez Kazbek dotychczas jeszcze nie został urzeczywistniony, ale studya w tym celu prowadzone wielce się przyczyniły do poznania natury górskich okolic tego kraju. Nareszcie niepodobna pominąć milczeniem zasług Statkowskiego, oddanych przy budowie kolei zakaukaskiej, gdzie był inspektorem naczelnym z ramienia rządu. Uroczystość jubileuszowa odbyła się wspaniale: w sali tyfliskich zebrań szlacheckich przedstawiciele miejscowych władz i inteligencyi w serdecznych mowach składali jubilatowi hołd i życzenia.

Sto jeden lat. W Horodence umarł chirurg starej daty, Leon Landes, przeżywszy 101 lat.

Samobójczyni, która przed kilku dniami o godzinie 11 w nocy rzuciła się do stawu pełczyńskiego, nazywała się Marya Dziadosz i pochodziła z Nowego Sącza.

Utonął podczas kąpieli w stawie glinianskim, prawdopodobnie wskutek ataku apoplektycznego, Kazimierz Nowacki, praktykant urzędu podatkowego w Glinianach.

Ofiara. Żona i syn ś. p. Franciszka Ksawerego Vrabeca, emer. radcy sądowego, złożyli na nasze ręce, zamiast wieńca na trumnę, 20 zł. na ubogich, zostających pod opieką Tow. św. Wincentego a Paulo konferencyi M. Boskiej. Upraszamy Zarząd tego Towarzystwa o zgłoszenie się po te pieniądze.

Zmarli. Dr. Konstanty Arzt, c. k. generalny lekarz, umarł we Lwowie w 70 roku życia. — Jan Żalplachta, major wojsk polskich w r. 1863, w ostatnich czasach przedsiębiorca kolejowy w Rumunii, umarł w Bukareszcie.

Stan powietrza. T. o 7 rano + 15, w poł. + 23° R. Barom. 761. Spada. Pogoda.

Przechodzień do żebraka:

— Powiadasz, że nie możesz znaleźć pracy. Odkądże to jesteś bez pracy?

— Hm, proszę wielmożnego pana, od jakich.... dwudziestu lat...

Po konsylium.

Lekarz X. No, jakże kolega znalazłeś chorego? Dziwna komplikacya kilku chorób...

Lekarz Y. Hm.. jedna choroba jest bezwarunkowo śmiertelna, ale z innych — wyjdzie..

Panorama racławicka na wystawie otwarta codziennie od godziny 8 rano do 8 wieczorem. Wstęp 50 ct.

Rozmaitości.

— **Sezon walki byków** rozpoczął się znów w Hiszpanii i zaznaczył się już sporą liczbą wypadków i skandalów publicznych, o których donosi jeden z korespondentów z Madrytu. W mieście Arvila przyszło nawet z tego powodu do rozruchów ulicznych. W cyrku miejscowym, przepełnionym z powodu odbywającego się jarmarku, miał wystąpić do walki z czterema bykami pogromca Pepe-Hillo. Z pierwszemi trzema „załatwił" się dość prędko i bez żadnego wypadku. To jednak właśnie nie podobało się publiczności. Gdy więc wyprowadzono czwarte zwierzę, stare i nieruchawe, z poobijanemi już rogami, widzowie poczęli się domagać innego byka. Ponieważ innego nie było już pod ręką, zaczęto gwizdać, sykać i hałasować, nakoniec zaś kilku widzów wskoczyło na arenę, pochwyciło nie broniące się zwierzę i w oczach całego cyrku zabiło kijami i nożami. Ale i taki protest nie zadowolnił widzów. Z cyrku bowiem powleczono ubite zwierzę przed dom burmistrza, który kierował „corridą" (walką byków) i powinien był dbać o jej „honor," poczem wśród przekleństw i złorzeczeń poćwiartowano zwierzę i podzielono się zdobyczą. Wówczas wdała się w to policya („Guardia civile") i z bagnetami rzuciła się na tłum. Przyszło do formalnej bitwy, w której jeden z poruczników i jeden z żołnierzy odnieśli cięższe rany, mnóstwo zaś osób z tłumu zostało pokaleczonych.

Podobny skandal i z tego samego powodu zdarzył się nazajutrz w miasteczku Valdepennas. I tam niezadowolniona z walki publiczność, opuszczając cyrk, wszczęła na ulicach bójkę z policyą i mnóstwo osób zostało ranionych, a jeden ze stróżów nocnych padł na miejscu od strzału rewolwerowego.

Trwające dopiero od dni kilkunastu walki dały się już we znaki także i samym pogromcom. W Madrycie, podczas walki w dniu 28 z. m., prawie wszyscy „banderillos," uczestniczący w przedstawieniu, zostali pokaleczeni przez rozjuszone zwierzęta i leczą się po szpitalach. Gorzej jeszcze powiodło się na tem przedstawieniu młodemu „torrero," Macra. Dał się on zaczepić rogami jednemu z byków, a ponieważ i dwa inne zwierzęta znalazły się w pobliżu, biedny „torrero" był więc przez chwilę w opałach, każdy bowiem z byków po kolei brał go na rogi i podrzucał w górę. Odwieziony do szpitala z trzema ciężkiemi ranami, Marca walczy ze śmiercią.

W Kadyksie również walka nie obeszła się bez paru wypadków. Torreador Pipa dostał się i tam na rogi byka i wyszedł z tej przygody z poszarpanemi muskułami lewej ręki. Na tem przedstawieniu odnieśli jeszcze rany: „espada" Aqualimpia i „piccador" (jeździec konny z lancą), nazwiskiem Arriero, który ma rozdarty policzek. Ładne zabawy!

— **Realizm amerykański.** Do niedawna najrealistyczniejszą sztuką repertoaru amerykańskiego była komedya „Dwie siostry". Siostra widząca opiekowała się siostrą niewidomą. Przez cztery akty rozmaici łotrowie prześladują sieroty, a chcąc się ich wkońcu pozbyć, kładą związane na szynach przed samem nadejściem pociągu. Naturalnie uratowano je. Ta sensacyjna sztuka widocznie już w ostatnich czasach nie zadowalniała amerykańskiej publiczności, gdyż o nowej, świeżo wystawionej, *Nowojorska Gazeta handlowa* donosi co następuje:

Scena amerykańska nie dosięgła jeszcze ostatnich krańców realizmu. Chcąc odpowiedzieć gustom publiczności, należy pójść jeszcze dalej w kierunku wskazanym. „The Tornado" nazywa się sztuka, która obecnie w teatrach wielkomiejskich ściąga najwięcej publiczności. By dać pojęcie tym, którzy sztuki nie widzieli, streszczamy ją pokrótce: Akt pierwszy. Olbrzymie drzewa wyrywane są z korzeniami. Domy padają. Dachy znosi burza. Błyskawice, grzmoty i grad. Akt drugi na pokładzie statku. Okręt kołysze się i 32 pasażerów dostaje morskiej choroby. Następuje spotkanie z drugim okrętem. Statek tonie, ale bohaterowie sztuki ratują się w łódce, co jest konieczne, bo w przeciwnym razie sztuka skończyłaby się. Odważnych ludzi bałwany rzucają w łódce, a ponieważ istnieje obawa, że choroba morska może udzielić się publiczności, zasłona spada prędko. Akt trzeci. Komu się zdaje, że w akcie tym autor oszczędzi nam głębokich wzruszeń, ten grubo się myli. Mamy tu pozór domu noclegowego, do którego zeszły się wszystkie osoby działające w sztuce, i wszystkie, nie wyłączając wuja i ciotki, zjawiają się w kostyumach nocnych. I tym razem, aby nie obrazić estetycznego uczucia widzów, kurtyna zapada szybko. W akcie czwartym dzieje się mnóstwo intryg w wodzie. Bohaterkę wrzucają do wody. Matka bohaterki wpada także w wodę, a papa rzuca się za nią. Ostatnia scena czwartego aktu przedstawia salę sekcyjną w szpitalu. Bohaterka, wydobyta z wody pozornie nieżywa, leży na stole sekcyjnym nieodziana, okryta tylko prześcieradłem. Doktorowie stoją gotowi z instrumentami w rękach. Nagle doktor naczelny spostrzega, że umarła jest jego żoną. Naturalnie, że o sekcyi nie ma mowy, a dzięki temu, umarła może jeszcze ożyć. Piąty i ostatni akt rozgrywa się w lesie. Wszystko oddycha spokojem i radością. Siły złego zostały zgnębione i rzecz cała kończy się ku ogólnemu zadowolnieniu.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 23 lipca.

(Z.). Nawet w najbardziej ożywionych peryodach, gdy dzieją się wypadki polityczne pierwszorzędnej doniosłości, nie ma nieraz takiego ruchu, jaki dziś panował na giełdzie.

Pod wpływem korzystnych notowań zagranicznych giełd, rozpoczęto już w pierwszej chwili dzisiejsze obroty znacznemi zwyżkami, które w dalszym ciągu ustawicznie rosły, gdyż w obec ogromnego popytu nie było prawie żadnej podaży, bo spekulanci liczą na to, że skoro Berlin, jak się zdaje, zaniechał opozycyi przeciw walorom austryackim, to kurs ich musi bezwarunkowo podnieść się o jakie 5 lub 6 prc.

Kredyty zamknięto dziś kursem o $3^1/_2$, węgierskie kredyty o 3 zł., anglosy o $2^1/_4$, bodenkredyty o 3 zł. wyższym. Największe ożywienie jednak panowało na targu walorów kolejowych. Akcye kolei północnej podrożały o 110 zł., gdyż tymczasowe obliczenie dochodów za 1sze półrocze wykazuje, że dochody tej kolei zwiększyły się przeszło o milion. Nawet pomimo tak znacznej zwyżki nie chcieli właściciele tych akcyi pozbywać się ich. Także akcye wszystkich innych kolei zamknięto znacznie wyższym kursem, gdyż dobre żniwa tegoroczne budzą nadzieje zwiększenia się eksportu. Stosunkowo najmniejszy ruch był w rentach, a zwyżki kursowe wynoszą tylko 5—10 ct.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 360 20, węgierskie 446 75, Anglobanki 159·—, Uniony 263·—, Bankvereiny 138·—, Länderbanki 248·70, Ludwiki 216 75, Czerniowieckie 281·—, Elbethale 267 50, Renta papierowa 98·45, srebrna 98 50, austryacka złota 122·45. 4% austr. renta wal. kor. 97·80, węgierska złota 121·70, 4% węgierska renta wal. kor. 96·15, dukat 5·89—, 20-frankówka 9·90—, marki 12·20, ruble $1·33^1/_4$.

§ **Wiedeń** 23 lipca. Spirytus 17 80 o 18·—.

§ **Przegląd targu zbożowego.** (Sprawozdanie banku rolniczego). Lwów 25 lipca.

Stagnacya zupełna. Popyt na spirytus słabszy. Dziś notujemy za 100 kilogramów loco Lwów: Pszenica gotowa 6·— do 6·80, Żyto gotowe 5·— do 5·50, Owies obroczny 6·— do 6·40, Jęczmień 4·— do 4.50, Rzepak nowy 8·50 do 9·—, Groch 0·00 0·00, Wyka 0.— do 0·—, Bobik 0·— do 0·—, Hreczka 0 — do 0·—, Kukurudza (stara) 0·— do 0·00, Kukurudza (nowa) 0·00 do 0.00, Chmiel za 56 kilo 70.— do 80·—, Koniczyna czerwona —·— do —·—, Koniczyna biała —·— do —·—, Koniczyna szwedzka —·— do —·—, Spirytus 10.000 litr. proc. loco stacye kolei 15·— do 15·25, Nowy —·— do —·—, Anyż —·— do —·—, Siemię konopne 0·00 do 0·00, Tymotka —·— do —·—.

§ **Podwołoczyska** 24 lipca. *Sprawozdanie targowe.* W ubiegłym tygodniu obraz sytuacyi mało co się zmienił. Roboty około żniwa posuwają się raźno i bez przeszkody; obecnie już śmiało można powiedzieć, że rezultat żniwa pszenicy i żyta, przedstawia się co do ilości średnio, co do jakości zaś, wprost doskonale. Mimo to jednak w obydwu powyższych artykułach prawie żadnych dotychczas nie przedsięwzięto transakcyi. Nietylko konsumenci, lecz także producenci uparcie trzymają się w rezerwie, co zresztą łatwo da się pojąć, jeśli się zważy, iż pierwsi liczą na dalszą zniżkę cen, drudzy zaś są pełni błogich nadziei, iż apatya taka dłużej potrwać nie może i że ceny koniecznie podnieść się muszą. Jęczmień gotowy bardzo pięknie wygląda, ceny jednak nie są jeszcze uregulowane. Na kukurudzę panuje dosyć znaczny popyt, to też ceny ciągle się podnoszą. Z Rosyi napływają tu bezustannie znaczne transporta, przeciętnie 80 do 100 wagonów dziennie.

Dziś notują: pszenica zł. 4·40—5·10, żyto 4·20—4·50, owies 4·20—5·20, jęczmień 3·20 do 4·10, proso 3·20—3·60, otręby z pszenicy 2·40 do 2·70, groch pastewny 5·50—6·25.

§ **Z wiedeńskiego targu bydła.** Na poniedziałkowy targ przypędzono 3841 sztuk bydła, a w tej liczbie z Galicyi 453 sztuk opasowych i 304 chudych. Nie sprzedano 2 sztuk.

Płacono: galicyjskie 55 do 64·00 zł., węgierskie 55—66·00 zł., z innych krajów koronnych 57 do 68·50 zł., krowy 23—34·00 zł., za 100 kilo żywej wagi.

Bydło chude od 22 do 80·— zł. za sztukę.

Telegramy „Przeglądu".

Paryż 25 lipca. Parlament pomimo niezmiernego upału obradował wczoraj przed południem i po południu nad ustawą przeciw anarchistom. Na przedpołudniowem posiedzeniu przyjęto paragraf drugi i trzeci. Socyaliści znów wywołali burdę, wciągając do dyskusyi osobę prezydenta republiki. Jeden z deputowanych Sembat zarzucił ministrowi sprawiedliwości, że niezawodnie u prezydenta republiki zasięga informacyi co do tego co ma mówić w izbie. Prezes Burdeau skarcił za to p. Sembata i wezwał go, aby osoby prezydenta republiki nie wciągał do debaty. Socyaliści poczęli krzyczeć: „Któryż to artykuł regulaminu zabrania tego?" Bardzo gorąca dyskusya wywiązała się przy artykule 4tym, orzekającym, że osoby skazane na podstawie tej ustawy, odsiadywać mają swą karę w celach odosobnionych, wszelako z tem obostrzeniem nie będzie połączone skrócenie czasu kary, jak to ma miejsce przy innych zbrodniach. Wszystkie poprawki socyalistów odrzucono i przyjęto ten artykuł bez zmiany. Dep. Rouanet postawił wniosek, aby denuncyacya fałszywa lub niedowiedziona podlegała karze, izba jednak odrzuciła ten wniosek 328 głosami przeciw 155. Burzliwą była debata nad artykułem 5 zakazującym zamieszczania w dziennikach sprawozdań o procesach anarchistycznych. Jeden z deputowanych wyraził się ubliżająco o prasie, rzekł bowiem, że wyzyskuje ona przywileje swego przemysłu. Słowa te wywołały protesty i sykania w trybunie dziennikarskiej, skutkiem czego prezydent kazał ją opróżnić. Pierwszy ustęp artykułu 5go przyjęto 323 głosami przeciw 157 — poczem odroczono dalszą debatę na dziś.

Londyn 25 lipca. Do biura Reutera donoszą z Nagasaki, że wojska koreańskie w mieście Soeul, podburzone przez rezydenta chińskiego, napadły na tamtejszą załogę japońską, jednakże zostały odparte.

Do tego samego biura donoszą, że rząd koreański usłuchał rady Chin i cofnął dane Japonii przyrzeczenie przeprowadzenia reform wewnętrznych.

Peszt 25 lipca. Minister spraw wewnętrznych Hieronymi objeżdżał dalej Siedmiogród i był w Tordzie, Karlsburgu i Dewie. Węgierska i saska ludność przyjmowała go wszędzie gorąco, natomiast Rumuni wedle powziętego z góry planu, usuwali się od wszelkiego udziału w przyjęciu.

Rzym 25 lipca. Dziennik urzędowy ogłosił już sankcyonowaną przez króla ustawę o reformach finansowych.

Christiania 25 lipca. Król odmówił swej sankcyi uchwale stortingu, nakładającej kary na tych, którzy na wezwanie nie stawią się przed stortingiem, tudzież ustawie o podziale służby konsularnej.

Paryż 25 lipca. Rozeszła się tu wczoraj pogłoska, że znanego przywódcę anarchistów inżyniera Pawła Reclus uwięziono. Pogłoska ta okazała się jednak nieprawdziwą. Między uwięzionymi wczoraj anarchistami znajduje się także nihilista rosyjski Łazarew.

Lwów dnia 25 lipca. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 216·— do 219·—. Kolej Lwow.-Czern. Jassko po 200 zł. w. 280.— do 283·—. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a. od 410·— do 420·—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. gal. 5% losow. w 40 lat. 101·10 do 101·80, 5% z 10% prem. 109·80 do 110·50, $4^1/_2$% los. w 50 lat. 100·— do 100·70. Banku krajowego $4^1/_2$% los. w 51 lat. 100·20 do 100 90. Banku krajowego 4% los. w 57 lat. 97·20 do 97.90 Tow. kredyt. gal. ziemsk. 4% (I. emisya) 98·— do 98 70. 4% los. w $41^1/_2$ lat. 97.80 do 98·50, 4% los. w 56 latach 96 70 do 97·40. $4^1/_2$% los. w 52 lat. —·— do —.—.

Obligi za 100 zł.: Galic. funduszu propinacyjnego 4% 96 60 do 97.30. Bukow. funduszu propinacyjnego 5%, 101 80 do 102 50 Kom. banku krajowego 5% w. a. II. em. 102·30 do 103·—, Pożyczki krajowej 6% 105·— do —·—, $4^1/_2$% 100·— do 100·70 4% z roku 1891 96 50 do 97·20 $4^1/_2$ z roku 1893 96 50 do 97 20.

Monety. Dukat cesarski 5·85 do 5·95 Napoleondor 9·85 do 9·95 Półimperyał 10·15 do —.—. Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.32 — do 1.35·— 100 marek niemieckich 60 80 do 61·40.

Wiedeń dnia 25 lipca. (godz. 11 w połud. Kredyty 363.85, kred. węgierskie —.—, Anglob. 163·—, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 251.80, Akcye tytoniowe 210.75, Staatsbahny 350 35, Lombardy (z kup.) 109.— Elbethale — Renta papierowa —.—, Renta węg. 4% kor. —·— Renta węg. złota 4% —.—, Alpiny —.—, Marki 61·02, Losy tur. —.—.

88)

KRÓLOWA ZŁOTA.

POWIEŚĆ

PAWŁA d'AIGREMONT.

(Ciąg dalszy).

— I o tej przeklętej? — odrzekł przerażony szczękając zębami. — Za nic... Sprowadź fiakra... Jeżeli mam umrzeć, to niech nastąpi to u mojej matki.

Gdy pomogłam mu usiąść w dorożce, rzekł:

— A teraz oddal się, gdyż nie chcę, byś słyszała mój adres... Gdy będzie mi lepiej, napiszę do ciebie...

Następnie podał mi rękę, ale była ona tak śmiertelnie zimną, że chłód jej przeniknął mię całą. Bezwiednie, z rozrzewnienia, nie umiejąc zapanować nad sobą, pocałowałam ją. On zadrżał i rzekł:

— Jakaś ty dobra i uczciwa jesteś, Urszulo. Tobie powierzę mego syna i dopiero wtedy będę spokojnym.

To były ostatnie jego słowa.

Gdy powróciłam do salonu, pani jak lwica w klatce miotała się i chodziła po pokojach. Chciałam uprzątnąć resztę niedopitej przez barona oranżady, lecz szklanka była próżna, znikły również kawałki pomarańczy i ananasu.

Następnego dnia, pani, która przedtem nigdy nie wstawała przed południem, była już ubrana i wyszła o siódmej rano. Powróciła dopiero o dziesiątej wraz z tandeciarką, która obejrzała wszystkie rzeczy, spisała je i zakupiła. Następnie pani z pomocą moją zapakowała kosztowności, koronki i suknie droższe, wypłaciła należność służbie i wyjechała do Wiednia. Wspominałam jej kilka razy o dziecku, lecz odpowiadała mi, że nie długo powróci do Paryża i ureguluje rachunek z mamką. Lecz upływały miesiące, a pani ani myślała o powrocie. W Wiedniu prowadziła życie tak rozpustne, że nie mogąc dłużej wytrzymać w jej domu, powróciłam do Francyi. Na poczcie nie zastałam przyrzeczonego listu barona, mamki zaś i dziecka, pomimo najgorliwszych poszukiwań, odszukać nie mogłam.

— W razie spotkania p. Rouvers, czy poznałabyś ją pani?

— Poznałabym z pewnością.

— Więc niech pani będzie gotową wyruszyć do Paryża pierwszym pociągiem po otrzymaniu odemnie w tych dniach depeszy.

— Dobrze, przyjadę.

XXXIX.

Ostatnie chwile.

Choroba hrabiego de Rochebelle przybierała rozmiary coraz groźniejsze.

Juanita, pomimo prawie bezustannego przebywania w Paryżu, otoczyła go jednak jak najtroskliwszą opieką. Nie przez przywiązanie, ani przez wdzięczność to czyniła, gdyż do uczuć tego rodzaju nie była zdolną, ale dla tego, że hrabia dopóki żył, zapewniał jej dalszy ciąg świetnej przeszłości, tryumfy i powagę nietylko w łonie swej rodziny, lecz i w najwyższych towarzyskich sferach paryzkich. Z jego śmiercią utracała przepych, majątek, ogromne dochody od kapitałów, pozostawionych przez don Josego.

Pewnego rana Helena od jednego z przyjaciół z otoczenia hrabiego otrzymała depeszę następującą:

„P. hrabia jest bardzo chory. Lekarz zapewnia, że nie przeżyje dnia jutrzejszego."

Panna Rochebelle z wiadomością tą pobiegła do p. Jacobsen.

— Co tu robić, mateczko? — zapytała.

— Należy jechać natychmiast — odrzekła Paulina. — Kto wie, czy człowiek ten w ostatnich chwilach życia nie uczuje żalu i nie powie, co uczynił z twoją biedną matką.

— Ach! ona nie żyje, mateczko! Przez tyle lat bowiem znalazłaby sposób powrócenia do nas.

— Kto wie?...

— Ty ją znasz, mateczko... Choćby miała iść boso i o żebranym chlebie, choćby musiała przyjąć służbę na statku, nie mając czem zapłacić za przejazd, nie zawahałaby się i przybyła...

— Moja droga, nie raz dzieją się rzeczy tak nadzwyczajne!

Helena badawczo spojrzała na p. Jacobsen.

— Mateczko, ty coś wiesz! — zawołała wzruszona.

— Nic nie wiem, daję ci słowo, ale mówiąc o Nadinie, nie doświadczam nigdy tej pustki niezmiernej i tego smutku ogromnego, jaki przejmuje mię na wspomnienie tych, których nie zobaczę już nigdy.

Promień nadziei zagasł w oczach Heleny.

— Mówisz tak, mateczko, dla tego, że będąc kobietą praktyczną, wierzysz tylko w urzędowy akt zgonu. Ale ona nie żyje, gdyż inaczej Juanita nie byłaby tak pewną siebie.

— Mniejsza o to, w każdym razie musimy wyjechać pierwszym pociągiem.

Tegoż dnia wieczorem były już w Rochebelle.

Obawiając się, że hrabina, gdyby wcześnie dowiedziała się o ich przyjeździe, mogłaby utrudnić im wstęp do chorego, nie brały ze stacyi dorożki, lecz pieszo udały się do pałacu.

Szybko przebyły wielkie schody i zwracały się już do drzwi pokoju chorego, gdy hrabina zatrzymała je na progu.

— Co tu robisz? — gniewnie zapytała Helenę.

— Przybyłam zobaczyć mego ojca — odrzekła dziewczyna spokojnie.

— Twój ojciec cię przeklął i nie chce cię widzieć.

— To pani tak mówisz, ale ja ci nie wierzę.

— Nie puszczę cię do niego, gdyż wzruszenie, jakiego dozna na twój widok, mogłoby go zabić.

Helena odepchnęła Juanitę i otworzyła drzwi.

— Wejdź matko — rzekła do p. Jacobsen, przepuszczając ją pierwszą.

— W głębi pokoju na bogato rzeźbionem łóżku dębowem, osłoniętem draperyą aksamitną, Krystyn de Rochebelle, ze zmienioną twarzą i na pół przymkniętemi oczyma, oddychając chrapliwie i szybko, kończył swe smutne życie.

— Ojcze — rzekła Helena, to ja, twoja córka, czy poznajesz mię?

Z kąta pokoju, wystraszona Juanita przypatrywała się tej scenie. W pierwszej chwili chciała udać godność obrażoną i odejść, a może pragnęła uniknąć pełnego pogardy i groźby wzroku Pauliny, lecz przemogła w niej ciekawość, a przedewszystkiem myśl o bezpieczeństwie własnem.

Krystyn nic nie odrzekł, jak gdyby nie słyszał głosu córki; trupia twarz jego nie zdradziła niczem przytomności umysłu.

— Nie słyszy mię — szepnęła zniechęcona Helena do swej matki chrzestnej.

— Cierpliwości — odrzekła ta ostatnia. — Przemówi przed skonaniem i wyrazi żal za swe czyny... W przeciwnym razie nie byłoby sprawiedliwości w niebie...

Słowa te wypowiedziała z taką siłą i tonem tak wyzywającym, że hrabina zadrżała.

— Boże wielki! co ona dowiedziała się o niej nowego?

Przerażona, siadła na stojącym w rogu pokoju fotelu, z którego mogła widzieć i słyszeć, co działo się naokoło umierającego.

Helena i baronowa ulokowały się przy łóżku Krystyna.

Kilka długich, pełnych obawy godzin upłynęło, a one, wszystkie trzy, jak czujne placówki na stanowisku wobec zbliżającego się nieprzyjaciela, w milczeniu i nieruchomie oczekiwały chwili przytomności chorego. W ogromnym pokoju panowała cisza głęboka, przerywana jedynie miarowym, monotonnym ruchem wahadła zegara.

Nakoniec Krystyn poruszył się na łóżku. Helena i p. Jacobsen porwały się z krzeseł.

— Nadino!... — z trudnością wyszeptał hrabia.

— Widzi pani — zawołała Juanita — że on wzywa mnie tylko i napróżno starasz się powstrzymać go od wyrażenia mi wdzięczności za moje poświęcenie...

— Milcz pani!... — zawołała Paulina. — On nie ciebie wzywa, gdyż ty nie jesteś Nadiną, lecz Juanitą, córką ladacznicy Maho.

— Nadino!... — jęknął Krystyn po raz trzeci.

— O jakiej Nadinie mówisz pan? — zapytała baronowa głosem uroczystym.

— O mojej żonie — odrzekł Krystyn.

— O tej, którą ci dał twój dobroczyńca don José! o matce Teresy i Heleny... Coś z nią uczynił?

— Teresa, Helena — powtórzył umierający — biedne dzieci!...

— W życiu swojem popełniłeś pan zbrodnię straszną — uroczyście mówiła dalej Paulina. — Z pomocą piekielnej zręczności swej wspólniczki potrafiłeś zasłonić się przed sprawiedliwością ludzką, ale zbliża się chwila, w której sprawiedliwość boska czeka na cię i nie unikniesz jej. Nim staniesz przed tym Sędzią Najwyższym, wyznaj swą zbrodnię, a może zyskasz przebaczenie...

Grube łzy pociekły po bladych policzkach umierającego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: *Wacław Masłowski* Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządca W. Hodak